

Nanga Parbat

W człowieku, który wspiął się na szczyt widzimy kogoś, kto stoi w obliczu nieprzesłoniętej tajemnicy. Osiągnął wewnętrzny szczyt, porzucił wszystko co niskie. Czy było warto? – pyta Dariusz Karłowicz w felietonie na łamach tygodnika „Sieci”

Na pierwszy rzut oka współczesny himalaizm niewiele różni się od innych sportów ekstremalnych. Mamy tu nadludzki wysiłek, imponującą technikę, odwagę, hart ducha i intrygujące osobowości, ale mamy również ogromne pieniądze, marketing, celebrytizm, kolekcjonowanie rekordów – słowem wielki biznes. No i mamy coś jeszcze – niewątpliwe ryzyko śmierci.

Śledząc dramatyczne wydarzenia na Nanga Parbat z każdym kolejnym tekstem o Tomasz Mackiewicz coraz lepiej zdawałem sobie sprawę, że jego historia i motywy przekraczają horyzont sportu – odsłaniając w himalaizmie to, co marketing i sekularyzm z niego wypłukał, a co czyni go sportem metaforą – symbolem spraw najważniejszych.

Mackiewicz nie należał do elity himalaistów zawodowców. W jego historii nie ma korony ziemi, znanych sponsorów, wielkich budżetów. Jak twierdzi życzliwy mu Wojciech Kurtyka, w środowisku bywał przedmiotem kpin jako dziwak, wariat, amator. A przecież to właśnie

*Historia i motywy
Mackiewicza przekraczają
horyzont sportu, odsłaniając
w himalaizmie to, co czyni go
sportem metaforą – symbolem
spraw najważniejszych*

on, a nie
profesjonalne
maszyny do
zdobywania
ośmiotysięczników
uosabiał to, co
sprawia, że
himalaizm wydaje
się nam czymś więcej
niż kolejną postacią

sportu ekstremalnego.

Na Nanga Parbat wchodził z samego dołu. Narkoman wychodzący na powierzchnię startuje przecież z dna Rowu Mariańskiego. Ukończona w Monarze terapia to był jego pierwszy ośmiotysięcznik. Potem była podróż od Indii i pół roku spędzone w ośrodku dla trędowatych Jeevodaya w Indiach u lekarki i misjonarki Heleny Pyz, gdzie pracował jako wolontariusz. Ośmiotysięcznik drugi.

Nie wydaje mi się przypadkiem, że tam właśnie zaczęła się jego droga na Nangę. I nie chodziło o rekordy. „Kiedy człowiek odbija się od dna, to chce osiągać szczyty. Tomek pokazał, że można wiele przewyciężyć w sobie samym. Że nie musi nas obciążać zło, które było naszym udziałem. Że można podnieść się po upadku, a potem żyć pełnią życia. I te pasje Tomka są wyrazem tego, że chciał żyć pełnią życia” – mówi doktor Pyz. Dwa słowa klucze: szczyt i pełnia życia.

Góra i dół to podstawowe kategorie naszej kultury. Z góry więcej widać, tam jesteście bliżej nieba. Mówimy: „górować”, „upadek”, „mieć doła”, „zajść wysoko”, „niskie intencje”, „wznieść się ponad to”, „wywyższyć” – bo góra znaczy dobro, a dół zło, bo góra, to wolność, duch, zwycięstwo, a dół to niewola i materia. Tak myślimy.

*Podziw wobec himalaistów
jest podziwem wobec ludzi
gardzących śmiercią*

Himalaizm łączy się z ogromnym ryzykiem. O Evereście mówi się, że jest najwyższym grobowcem świata.

Podziw wobec himalaistów jest podziwem wobec ludzi gardzących śmiercią. Tylko co to właściwie znaczy? Można widzieć w tym rys współczesnej gladiatorki, coś co przenosi ten sport na arenę współczesnego Colosseum. Ale może to być element najważniejszej spośród tradycji duchowych Europy – koncepcji filozofii jako przygotowania do śmierci.

Jeśli himalaizm wziąć w ten sposób, wyścig po rekordy staje się czymś nieistotnym – a wspinaczka jest rodzajem duchowego ćwiczenia, walką ze słabością, drogą do panowania nad namiętnościami. Taki himalaizm byłby rodzajem drogi, której celem jest wolność od wszystkiego, co nas pomniejsza włącznie z lękiem przed śmiercią – wolność radykalna.

Taki himalaizm byłby też figurą życia kontemplatywnego. Nie chodzi mi o to, jaka jest rzeczywistość, mówię o pewnym micie. W człowieku, który wspiął się na szczyt widzimy kogoś, kto stoi w obliczu

nieprzesłoniętej tajemnicy. Osiągnął wewnętrzny szczyt, porzucił wszystko co niskie. Czy było warto? Czy to nie egoizm? Ucieczka przed prawdziwym życiem? Stare dylematy: *vita contemplativa* czy *activa*? Marta czy Maria?

*We wszystkich bodaj
tradycjach religijnych góra, to
miejsce spotkania z Siłą,
której obecność przeczujemy
– miejsce epifanii, mieszkanie
nieśmiertelnych*

We wszystkich bodaj
tradycjach
religijnych góra, to
miejsce spotkania z
Siłą, której obecność
przechujemy –
miejsce epifanii,
mieszkanie
nieśmiertelnych. W

naszej tradycji jest tak samo: Syjon, Tabor, góra siedmiu błogosławieństw, Golgota. Z tego samego powodu góra jest miejscem stosownym dla tych, którzy pośredniczą między ludźmi i bogami, którzy reprezentują bogów i orędują za ludźmi – miejscem dla królów i kapłanów. Dlatego właśnie, a nie tylko z powodów obronnych, tworzono akropole – te w Mykenach, Atenach, Szurpiłach i Krakowie.

Czy można się dziwić, że szczyt góry wyznacza kierunek drogi prowadzącej do wewnętrznej przemiany? Na szczyt idą ci, którzy pragną odnaleźć w sobie cząstkę podobną do Boga – żyć pełnią życia.

Akcję ratunkową śledziliśmy w wielkim napięciu. Trudno było uciec od pytań. Po co tam wchodzić? Czy prawdziwym ośmiotysięcznikiem nie jest raczej codzienność? Czy wbrew deklaracji idąc na Nangę po raz siódmy wygrał ze strachem, czy przegrał z magnetyczną siłą

sportowego wyzwania? Nie dowiemy się. W tych sprawach, w przeciwieństwie do sportu to, czego można dowieść nie dostarcza jednoznacznej odpowiedzi. Można przegrać wygrywając i wygrać nie zajmując miejsca na podium. Ale jedno jest pewne. Mackiewicz walczył o stawkę znacznie wyższą niż sportowy rekord. Wystąpił w dobrych zawodach. Bieg ukończył. Mam nadzieję, że doszedł tam dokąd zmierzał.

Niech odpoczywa w pokoju.

Felieton ukazał się w tygodniku „Sieci” nr 6/2018